

MAŁGORZATA

# KALICIŃSKA

*Trzymaj się,  
Mańka!*

Małgorzata Kalicińska

TRZYMAJ SIĘ, MAŃKA!

Wydawnictwo Estymator

[www.estymator.net.pl](http://www.estymator.net.pl)

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-31-0

Copyright © Małgorzata Kalicińska

Projekt okładki: Olga Bołdok

## **SPIS TREŚCI**

No!

Wenus

U taty

Rower

Pani Ania

Osiolkowi...

Kobiety samotne

Podział

Na swoich śmieciach

Raz, dwa, trzy... Szukam!

Ania, Anula

Porządki

Sikacz za 5,50

Pożar

Sklep?!

Maile

Wielkie serce

Bomba?

Zmiany

No to się zbieram...

Rowerem do wspomnień

Akordeon

Decyzje

Decyzja podjęta, ale nie jestem w euforii

Rokpol i śledzie

Taksówką na Okęcie

Lot

Mieszkanie Antka

Niedziela w Ulsan

Mój pierwszy samodzielny dzień

Weekend  
Rozpadało się  
Olga Iwanowna  
Tajfun  
Ostro, ostrzej, auuuuu!  
Całkiem zwyczajne dni  
Curry  
Bomba...  
No to pa... choć nie chce mi się wracać  
Słodko, domowo  
Gabi  
Dentysta sadysta  
Bum!  
Ślub  
Cwany plan pana Zygmunta  
Niespodzianka  
Decyzja  
Fuerteventura  
Weronika i Chris  
Młodzi...  
Bali  
Estera  
Maile, czyli kontakt ze światem  
Teresa i papaja  
Ostroboki  
Cień  
Ślub i obrączki, czyli marzenia się spełniają  
Fiancé!  
W życiu musi być dobrze i niedobrze. Bo jak jest tylko dobrze, to jest niedobrze – ks. Jan  
Twardowski  
Tak jak być powinno  
Grudzień w Korei

Święta tuż

Przygotowania

Koreańska, a jednak polska Wigilia

Hanka

Do zobaczenia w Polsce!

Nowy rok

Zamiast epilogu

– Mamo, a co z pracą?

Milczę. Grzesiek naciska zniecierpliwionym głosem:

– Mamo, mówiłaś, że to na czas opieki nad Lilą. Ale to już mija ponad rok!

Dzwoniłaś do redakcji? Mamo!

Wkurza się. Jest mistrzem szybkiego reagowania. Zapewne on już ze sto razy zadzwoniłby do Reginy, Krysi, Jacka i innych redaktorów. Załatwia wszystko na już i na teraz. Mówi, że to jest normalne, bo spraw nie należy zaniedbywać, odkładać na jutro.

– Mamo, samo się nie załatwi!

Może ma rację?

Żegnam go, wysilając się na jakieś składne odpowiedzi, i podchodzę do okna z kubkiem chłodnej kawy.

\*\*\*

Czerwiec. Chyba czerwiec. Nie wiem tak na pewno, bo jestem od jakiegoś czasu ślepy i głuchym ślimakiem. Nie jestem nawet pewna, czy sama faktycznie żyję.

Moja katalpa za oknem ma piękne jasnozielone liście wielkie jak wachlarze, a na gałęzi, którą musieliśmy kiedyś przyciąć, bo już była za blisko okien, siadają synogarlice. Nie cieszą mnie ani one, ani też słońce, które prześwieca przez ledwo poruszające się listowie, ani fakt, że jest ciepło. Od pogrzebu Lilki, mojej ukochanej przyrodniej siostry, jestem tępa, zdrewniała, obojętna. Prawie nie wychodzę z domu, z nikim nie rozmawiam. Kiedyś śmiałam się z niej, że idąc do naszych, bądź co bądź, eleganckich delikatesów, spina włosy ołówkiem, wkłada przydeptane tenisówki i nie zamienia domowego dresu na jakieś normalne spodnie. Odpowiadała mi zadziornie: „Nie śmierdzą, prawda?”. I już. Dzisiaj ja robię to samo. Kiedy w lodówce mam tylko światło, idę do sklepu w tym, w czym stoję. Kiedyś późnym wieczorem był to szlafrok. Niebrzydki, granatowy, długi jak płaszcz, ale na bosych stopach miałam domowe klapki. Włosy jak ona zwinęłam w koczek i wsunęłam w niego ołówek. Przede mną przy kasie stała szalenie elegancka para. Ona w długich kolczykach z błyszczących kamieni, sukni wystającej spod czarnego futerka. On pod muchą, pachnący jak perfumeria. Chyba szli na jakieś przyjęcie. Kupowali koniak i szampana, ja kupowałam... koniak! Bez szampana. To był jedyny raz, kiedy się ostatnio uśmiełam. No może nie spektakularnie, ale tak „ha, ha, ha” przy kasie. I zaraz zamilkłam.

Nie wiem, czy ja się w ogóle śmieję. Chyba nie. Smucę? Nie, też nie. Rozmyślam? Nie. Ja po prostu powoli jestem. I nie z powodu głębokiej żałoby, raczej dlatego, że wszystko, cały kontekst, okoliczności tworzące moją życiową otoczkę sprawiły, że niemal rok temu uciekłam w niebyt. Wiem, a raczej wiedziałam, że walenie głową w ścianę, tupanie i tak dalej nic nie dadzą, więc się poddałam. Na jakiś czas. Grzesiek nazwał to depresją i każe mi iść do lekarza, ale powiedziałam mu, że chrzani. A co? Lekarz na mój życiowy zakręt da mi pigułki?!

\*\*\*

Gala już nie przychodzi. Nie mam pieniędzy, sama sobie radzę. Nie zarastam brudem, bo niektóre czynności wykonuję machinalnie. Umieję odkurzać, robić kawę, umieję ją wypić i gapić się na ulicę z balkonu, umieję się umyć i ubrać. Ale nie umieję czytać, nie umieję oglądać telewizji, rozmawiać z ludźmi. Nie podnieca mnie polityka. No... troszeczkę, ale nie żołądkuję się tym, co się dzieje. Nie mam takiej potrzeby. Każda próba rozmowy na jakikolwiek temat nuży mnie śmiertelnie. Otwieranie ust i uruchamianie procesów myślowych to jakaś koszmarnie trudna praca, a ludzie są tacy dziwni i zadają takie skomplikowane pytania. Telewizja przeciwnie – niczego nie

wymaga. Ślizgam się po niej jak po lodowisku. Nic, żadnej zaczepki dla oka, ucha, mózgu. Biorę pilota i klikam, klikam. Mam tyle programów! Na każdym ktoś coś mówi w jakimś niezrozumiałym języku, nawet jeśli są to kanały polskie. Nic... Reżimowe kanały w ogóle pomijam.

Książki są napisane za małą czcionką i po... marsjańsku. Czytam i jakoś nie łapię treści. Młodzi autorzy nie radzą sobie ze zwyczajnością. Ich światy przedstawione muszą być pokręcone, utaplane w rzygowinach, chlaniu, sikaniu, psychopatii, gwałcie, żeby potrząsnąć nimi i ewentualnie czytelnikiem. Piękno, dobro, radość są tak nudne, że nie umięją się w tym znaleźć, a przecież nie mieszkają na zimnym poddaszu czy w wilgotnej i zimnej piwnicy, nie umierają na suchoty, nie obcinają sobie uszu. Może to już tak jest, że gdy twórca mieszka w domku z piernika i maselka ma pod dostatkiem, fascynuje go szambo i odwrotnie?

Tak czy siak, co wezmę do ręki okrzyczany bestseller, to bluzgi, śmierć, dewiacje i mord. Szaro, ponuro, nędznie, że aż chce się wybrać w podróż, to znaczy, chciałoby się, gdyby energii było więcej, żeby opisywać to, co tak odległe, inne, ciekawe. Bo świat zawsze fascynował mnie bardziej niż powieści. Zawsze o tym marzyłam i nigdy nie mogłam tych marzeń zrealizować, bo... Grześ, bo praca, tata, Lila. Wykręty czy gradacja ważności?

Może tak wybrać się w podróż jaką? Opisywać to, co tak odległe, inne, ciekawe? Zawsze o tym marzyłam, choć nigdy nie mogłam zrealizować, bo... Grześ, bo praca, tata, Lila... Wykręty czy gradacja ważności?

\*\*\*

Tata czasem dzwoni i niespecjalnie zamęcza mnie rozmową, też jakiś wycofany. Jest wiosna, ma mnóstwo pracy i wie, że żyję. To mu wystarcza. Grzesiek cieszy się, że w ogóle odbieram telefon. Jest bardzo zajęty, dzwoni rzadko i tak jest dobrze. Marcin się nie odzywa. Antoni, mój korespondencyjny znajomy z Korei Południowej, może i pisze, ale nie otwieram poczty, nie odpowiadam.

Mam żal do Marcina. Czułam, że moglibyśmy. Że zaczynało coś się pleść między nami. A tu ten niepoważny i dziwaczny scenariusz jak z taniego filmu, „gonią mnie, więc uciekam”. Idiotyczne, dziwaczne i kabotyńskie. Tak mnie zostawić! Czyli nie byłam ważna.

Wzdycham i... nie czuję nic. No, prawie nic. Małe ukłucie, które zaraz znieczulam, zaklejam plastrem i spycham do piwnicy. Nie myślimy o takich rzeczach! Nie prowokujemy rozumku, a tym bardziej duszy do odczuwania! Ciiii. To niczemu nie służy! Łyk kawy spływa po gardle i znów jestem spokojna.

Bywa, że mi do drzwi w mojej głowie łomocze Lilka z wymówką, Włodek, mój nieżyjący mentor, ze swoimi sarkastycznymi uwagami albo też nieżyjący już Gieniu, mój ukochany wuj, z troską i bitkami wołowymi. Ale nie otwieram. Nie ma mnie!

Podeszłam do scindapsusa i wsadziłam palec do doniczki. Jakoś nie mogłam się zdecydować, czy ziemia jest wilgotna, czy nie. Tak czy nie? Tak czy...

To niemyślenie i nieczucie przerwała mi kropla, która wpadła mi do kubka z resztką kawy. Głęboko w mózgu poczułam niepokój. Bo jeśli już nawet wylewam kawę na podłogę, bezwiednie przechylając kubek zwiotczała dłonią, to powinna ta kropla spaść na podłogę, a nie odwrotnie. Patrzę na sufit, z którego spadła, i widzę niewielką mokrą plamę. Jednocześnie dociera do mnie dziwny dźwięk z kuchni. Cieknący kran?!

Weszłam do kuchni, patrzę, a tu coś bębni o zlew. Aberracja jakaś... Na metal kapie raz za razem woda z sufitu, na stół też i... podobny dźwięk słyszę z łazienki. O! Tu też

kapie! Prosto do wanny i na pralkę. Aaaaaa!!! A w pokoju Lilki? Zaglądam ciekawie. Jeszcze nic. Spokój i dalej też. Wracam do pokoju. Kapie już na scindapsusa, na mój tapczan i na biurko. Zielone sukno ciemnieje szybko. Pobiełam po miednicę. Biurka szkoda. Rozłożyłam dwie parasolki do czasu znalezienia folii. Zgarnęłam pościel. Na tapczanie wylądowała duża miska. Kubeł stanął pośrodku na dywanie, a na scindapsusa... a niech się leje! Do zlewu w kuchni – niech tam! W łazience do wanny – niech tam. Ale na pralce przytomnie stawiam garnek. Wreszcie mój mózg się budzi, jakbym otworzyła mu okna. Aaa!!!! Zalewa mnie!

Nie mam pojęcia, co robić, bo jeszcze mój mózg, odwykły od myślenia przyczynowo-skutkowego, ociąga się i nerwowo biega z kąta w kąt mojej czaszki. Ale oto odzywa się we mnie Lila: „Leć, debilko, na górę! Stamtąd się leje!”.

Niestety to nie takie proste. Znaczący schody są proste i łomotanie do drzwi, i dzwonienie, i znów walenie pięściami, ale jest sobota po południu i sąsiadów nie ma! Normalnie już bym zadzwoniła do Gienia, ale nijak się nie da. Do nieba nie ma takiej możliwości. Do ojca? A co on może pomóc? Wiem! Dozorczyńni!

Biegnę, walę, pukam... Nic. Otwierają się drzwi obok i jakaś kobieta z maseczką na twarzy mówi:

– Nie ma. Pojechała z synem na wesele do Suwałk!

Machnęłam ręką i wróciłam do siebie. Zostało tylko pogotowie wodno-kanalizacyjne.

To, co się potem działo, ostatecznie postawiło mnie na nogi, bo... nie działo się nic. Poza tym, że lała mi się woda z sufitu w całym domu, kolorując już i sufit w pokoju Lilki. Żaden cud się nie zdarzył. Żaden Superman nie wskoczył mi przez okno ratować mojego dobytku. Biegałam po sąsiadach, próbując poderwać ich do wspólnych działań, ale to przecież leniwe czerwcowe popołudnie, i na dodatek sobota... Jednych nie było, drudzy rozkładali ręce, a jeszcze inni tak, tak, współczuli i pytali, czy byłam u dozorczyńni, bo trzeba zakręcić pion, i na tym się ich inwencja kończyła. LUDZIE! Pogotowie wodne? Tak, tak, oczywiście przyjadą, ale nie wiedzą kiedy!

Jeszcze raz biegnę do dozorczyńni, bo może jej sąsiadka zna numer do niej. Oczywiście, że zna! Jakbym z mety powiedziała, o co chodzi, zamiast tak się rzucać i świrować, toby mi go dała od razu! Ma też klucze do piwnicy. No jasne! Było od razu mówić, o co chodzi!

Zbiegam do piwnicy i szukam zaworu. Jakiś jest, ale czy to od tego pionu? Nie wiem. Zakręcam jakieś trzy dla pewności. Łażę i sprawdzam, czy są tu jeszcze jakieś zawory. Uffff! Nareszcie jakiś kawałeczek ratunku.

Nie muszę długo czekać – w piwnicy zaraz pojawia się dwóch sąsiadów z klatki. Nie znamy się, ale zaczynają od pokrzykiwanek, co też ja tu wyprawiam! Odpowiadam spokojnie, dlaczego pozbawiam ich wody, i nareszcie jeden, dość kompetentny i mniej krzykliwy, pokazuje na pewniaka, który to zawór jest NASZ, znaczący pion – mój i jego też. Resztę odkręca, zapewniając mnie, że tamtym sąsiadom nic nie grozi. Na oko trzydziestolatek, z ostatniego piętra, przedstawia się po kilku latach zamieszkiwania tu (bez zwyczajowego „dzień dobry”, mrużanego zazwyczaj na schodach) – co to za dziwne czasy... kiedyś znaliśmy się tu wszyscy – i bierze sprawy w swoje ręce. Znaczący raz jeszcze dzwoni do pogotowia wodnego i, jak słyszę, jest niemiły. Może dlatego obiecują szybszy przyjazd. Potem idzie na spytki, co to są za sąsiedzi, ci mieszkający nade mną, i kto ma do nich jakiś telefon. Nikt!



Wieczór. Sytuacja nadal napięta. Wodę bierzemy (nasz pion) wiaderkami z piwnicy, a sąsiadów z nade mnie nie ma. Pogotowie było, ale włamać się nie mogą, a skoro zakręcony pion, znaczy woda już się nie leje i nic tu po nich. Sąsiad z ostatniego piętra wkurzył się i poświęcił swoje dobre imię, włączając po moim balkonie na balkon tych z góry i tam lufcikiem do ich mieszkania. Normalny włam! No i okazało się, klasyka – pani zostawiła włączoną pralkę, pękł przewód i mają Śniardwy w mieszkaniu. A ja już wiem, że wody po kostki w ich mieszkaniu nijak się nie zbierze, musi ściec. ŚCIEC DO MNIE! Przeze mnie! I dalej!

Ja mam już w domu Pojezierze Mazurskie. Zalane książki, regał, który się zapewne wypaczy jak klepki w podłodze, i biurko w moim płaszczu przeciwdeszczowym. Masa wody na podłodze, zalana klatka schodowa, bo woda już przekracza próg i się leje... Pokój Lilki ratuję mopem, który wyciskam w tempie ekspresowym do wiadra, a z wiadra wodę wylewam przez balkon na krzaki pod nim. Wszyscy, którzy nie wyjechali na weekend, wylegli już na klatkę zobaczyć, jak woda płynie ode mnie, bo ci mieszkający nade mną mają szczelne drzwi. Oprawdam więc ciekawskich i wkurzonych po moim akwariu, pokazując sufit i zapewniając każdego wątpiącego, że to ja jestem ofiarą, a nie sprawcą, i że to od nich – tych z góry.

Koło pierwszej w nocy, gdy woda już nam z lekka spłynęła i spowszedniała, przynieśliśmy, kto tam co miał w domu, i piliśmy wódkę, wino i piwo, siedząc na suchych schodach nad powodzią, rozeźleni, ale i jakoś zjednoczeni wspólnym nieszczęściem, nerwami, a może też resztką współczucia.

Oczywiście zapytano mnie, czy mam gdzie spać na suchym, że może do nich na kolację i na noc... Podziękowałam, bo nie mam najmniejszej ochoty iść do nich, a i oni, wiem to, czuję, zapraszają raczej kurtuazyjnie. Na tych schodach jest fajnie, bo nagle moi nieznani mi sąsiedzi pokazali, że są, istnieją i nawet coś czują. We włącznik światła wetknęliśmy zapalniczkę, bo gasło co chwila, jak to na klatce. Wreszcie pożegnaliśmy się, bo sytuacja się ustabilizowała, a woda i tak musiała zrobić swoje.

I na mojej podłodze robiła. Drewno zaczęło pęcznieć. Cholera jasna!

Spałam w pokoju Lilki na rozłożonej kanapie koło balkonu. Na suficie u niej były już nacieki, ale miałam nadzieję, że jest szczelniejszy. W pomieszczeniach po mieszkaniu pani Mieci – mojej stareńkiej wieloletniej sąsiadki, której mieszkanie odkupiliśmy i wchłonęliśmy – jest sucho. To inny pion i tu ułożyłam stertę rzeczy uratowanych z topieli: ciuchy z szafy, książki i komputer. Teraz wygląda to jak jakaś sortownia łachów z PCK. Ale bałagan!

W niedzielę po przebudzeniu od razu poczułam w powietrzu zapach namokłego drewna i lekkiej stęchlizny. Westchnęłam wściekła. Wściekła, bo z prędkością światła zrozumiałam, jaki mam w koło ogrom zniszczeń i ile to będzie wymagało pracy.

Układanie, sortowanie... no i remont! Gdzie ja mam jakieś papiery z ubezpieczeniem?

– Auuuu! Ożeż no, kurwa, no! – wrzasnęłam, siadając i spuszczając stopy w kałużę.

I były to pierwsze normalne słowa, jakie mi się wyrwały z gardła od śmierci Lilki.

**No!**

Czuję się, jakbym wytrzeźwiała, jakbym się nagle wybudziła z komy i dowiedziała, że minęło milion lat. Może nie milion, ale kilka miesięcy mi uciekło, to pewne. Prawie rok. Teraz mam „kupę balu, panno Lalu” i nie pora na zasypianie, zapomnienie i

dziwaczną malignę, w której się bezpiecznie schowałam po śmierci Lili. Kiedy Mirek zabrał specjalne łóżko, które wypożyczył na czas choroby, Gala sprzątnęła dom i wyszorowała go tak, że zapachy biologiczne i przykre prawie znikły, zamknęłam za nimi drzwi, wyjęłam wtyczkę z laptopa i tym samym sama się odłączyłam od świata. Chciałam odpocząć, wyciszyć się, oczyścić z emocji wysysających mnie od jakiegoś czasu. I zapadłam w ten swój bezpieczny półletarg.

\*\*\*

A teraz mam mokre stopy, podłogi pokrywają już brzuchate wydmy, mokro wszędzie, ślisko wszędzie, a jeszcze nade mną wisi kilka ton wody w betonowym suficie. Tynk już odpada, strumyczki ciekną sobie po cichu koło scindapsusa zgodnie z grawitacją... Najgorsze jest to, że winnych nie ma. Wyjechali i nie mają pojęcia, co narobili sobie i mnie.

– *Muchas gracias*, wy cholerni debile! – wrzasnęłam do sufitu.

A może właśnie to jest najlepsze? Może to przywróciło mnie do życia? Tylko po co?

Tak czy inaczej, trzeba coś robić, wymyślić, działać. Nie dam rady chodzić po tych wydmach. Szkoda klepek, takie stare, dębowe, tyle lat było mi z nimi dobrze! I co teraz? Gieniu natychmiast by się tu pojawił i zarządził, co trzeba! Już by mnie pakował, wycieralibyśmy książki i lampy, a potem dałby mi walizkę, wyprawił do ojca, a resztą sam by się zajął. On to lubił! Jutro byłaby ekipa remontowa i pani od ubezpieczeń, jego robocze spodnie i koszula flanelowa, i słowa: „Ja to załatwię. Tylko spływaj mi stąd, Marian!”.

\*\*\*

Sąsiedzi z góry wreszcie wrócili. Przepraszali oczywiście, co przyjąłem kwaśno i bez entuzjazmu. Wprowadzili się niedawno i ich wycacane mieszkanie też jest do remontu, choć właściwie tylko podłogi, może troszkę meble, ale oni mają jakieś takie metalowe meble i łóżka, więc strat mało. Panele tylko do wymiany.

Młoda lady przysła obejrzeć straty u mnie, sama też pojękując, co to jej się zepsuło, zalało, zniszczyło. Ale nie chciało mi się jej słuchać. Nie muszę z niej zdejmować poczucia winy, choć też obarczanie jej winą za pękniętą rurkę... Byłam wkurzona i zniecierpliwiona, bo nagle w moje ciche życie, prowadzone na jałowym biegu, chlusnęła woda i spowodowała równie niemiłe przebudzenie jak w zasikanej pościeli.

– Szczęście, że to nie zima, prawda? – westchnęła, szukając pocieszenia, i poszła do siebie.

Nie chce mi się jej współczuć.

– Włodek, prawda, że nie muszę? – pytam mojego anioła Włodzimierza, który zapewne krąży tu nade mną i pali niebieskiego e-papierosa.

– Jasne, mała – mówi, siadając na szafie. – To nie twoja sprawa zamartwiać się innymi. Masz prawo do wkurwu! I tak jesteś grzeczna, bo inna by się wydarła, żeby spuścić sobie emocje, a ty milczysz jak jakaś durnowata święta.

– Daj spokój, a co by to dało, gdybym się wściekła? – pytam go.

– No właśnie twojej złości oczekuję od miesięcy! Jakiegoś otrząśnięcia się z tej twojej cichej hysterii.

– Histerii?! Włodek, to nie histeria. To była taka...

Nie wiem, co to było. Nie kontynuuję mojej wymaginowanej rozmowy z Włodeczkiem. Niech sobie odfruwa w spokoju. Mam teraz inne problemy na głowie niż analizowanie tego, czemu na kilka miesięcy zamknęłam się w kokonie.

– Oto jak nas, zwykłych ludzi, rzeczywistość ze snu budzi – zacytowałam Boya i zaczęłam się zastanawiać, za co ja mam się wziąć najpierw. Za mop, za telefon do kogoś pomocnego, za pakowanie? Muszę mieć kogoś do pomocy! Sama nie dam rady.

– Mirek? Cześć, czy mógłbyś....

Rozmowa z moim byłym mężem sprawiała, że coraz bardziej się prostowałam. Mirek nie może mi pomóc, ma zaraz trudny zabieg. Mam znaleźć w necie jakąś firmę, która pomoże.

– Marianna, to nie jest trudne! – rzucił zniecierpliwiony tonem przygany.

Niby nie, ale gdy się spało tak długo, organizm nie jest przyzwyczajony do działań, do myślenia, szukania i podejmowania decyzji! Zwykły telefon do Mirka to już był nie lada wyczyn! Czy on tego nie rozumie? Nie rozumie. I co dalej? Najnormalniej w świecie chciałabym zniknąć. Wiem, że istnieją gdzieś poza mną jakieś siły, ludzie, organizacje, które załatwią sprawę zalanego mieszkania, ale poszukanie ich, poproszenie o cokolwiek, wyłuszczenie problemu to nie na moje siły. Gdyby była ze mną Lila w jej dobrych latach, z mety już byłoby wszystko obdzwonione, a ona sama „przyłożyłaby mi do tyłu wektor siły”, czyli dała kopa na rozpęd, jak to kiedyś mówiłam do Grzesia, gdy jeszcze byłam młodą i wesołą matką.

Brzuchy na podłodze nie wyglądają na tymczasowe ani nie wygląda na to, że same znikną. OK, korona z głowy ląduje w koszu na śmieci, zbieram siły i... dzwonię do Juli, obecnej partnerki mojego byłego męża. Chyba zwariowałam.

– Cześć, Jula. Dzwonię, bo... wiesz... zalało mi mieszkanie, znaczy z góry sąsiedzi zalali mi, i jestem w jakimś kompletnym dole... – Milknę i nie wiem, co mam dalej mówić.

– Marianna? Cześć, miałam dzwonić. Mirek mi powiedział. Ale bałam się, że ci się będę narzucać z troską... No ale jak to zalało? A Gala?

Pokrótkie opowiadam, co się stało, i informuję, że Galina od pół roku już u mnie nie pracuje, bo nie mam kasy, i że sama właściwie też nie pracuję, tylko haftuję jakieś durnotki na umowy-zlecenie. A miałam być przecież bogatą freelancerką. Fakt, że stare kontakty Włodzimierza dały mi jakieś możliwości i czasem mam telefon z prośbą o jakiś materiał, wywiad. Ale mało tego. Powoli przejadam oszczędności. Nie ma dla mnie nigdzie etatu. Jestem stara, znam swoje prawa, jest, jak jest... Opowiadam Juli o wydętej podłodze, o zlanych ścianach. Jula współczuje i mówi, że za chwilę oddzwoni. Ma pomysł! Celowo nie dzwonię do ojca. Dzieli nas trzydzieści kilometrów. Co on mi pomoże? Jest stary i to nie jest na jego siły. Ale mogę faktycznie zrobić to, czego domagałby się wujek Gienio: pojechać do taty, jakby tu zaczął się remont.

Jula:

– Marianna? No to pisz. Firma nazywa się Faceci z Wenus.

– Oszalałaś? Nie pomyliły ci się adresy? Ja chcę...

– Uspokój się! To faceci do wszelkich poruczeń! Remonty, przeprowadzki, niesprawny samochód, chory pies, czwarty do brydża... Nigdy nie słyszałaś? Zapisz telefon i zadzwoń bez obaw. Pomogą. A może przyjechać? Wiesz, że nie biegam jeszcze maratonów, ale...

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI